

— W Polsce jest wiele wybitnych aktorek. O gwiazdach mówi się dwóch: Krystynie Jandzie i Grażynie Szapolowskiej. Czy u nas łatwo jest być gwiazdą?

— Ja nie wiem co to znaczy. Używa się wobec mnie tego określenia, ale nikt kto tak mówi sam nie wie co to znaczy. Wiem jednak, że ludziom jest potrzebny ktoś kogo określa się tym mianem. Gwiazdom przypisuje się różne fanaberie. W Opolu np. drugi raz zdarzyło mi się, że młodzież przez okno pukała do garderoby i żaliła się: pani Krystyno, znowu nam powiedziano, że pani nie pozwoliła, abyśmy się dzieli na schodach. To jest mechanizm, który działa poza mną. Gdziekolwiek przyjeżdżam, klękam przed strażakiem i błagam: wpuście młodzież, bo ona nie ma pieniędzy. Za każdym razem jednak używa się mnie jako potwora, który zadecydował inaczej.

— Pani partner z improwizowanego filmu „Laputa”, Sami Frey, nazwał panią jednak potworem i to gorszym niż Brigitte Bardot czy Romy Schneider.

— Tak, ale po pierwsze to jest anegdota, którą ja sama upowszechniam, a po drugie jemu nie chodziło o to, że ja robię awantury na scenie czy histeryzuję, ale że nie widział aktorki, która z taką świadomością potrafi wykorzystywać na korzyść swojej roli każdą sytuację na planie.

— Dla aktora jego ciało i twarz to narzędzia pracy. Czy pani jest zadowolona ze swego wyglądu?

— Nigdy nie byłam zadowolona i dlatego tak bardzo staram się dobrze grać. Aktorki, które bardzo się sobie podobają często uważają, że to wystarczy.

— Gwiazdę poznaje się między innymi po niezwykłych holdach składanych jej przez publiczność. Pani wcieliła się w postać największej polskiej gwiazdy — Heleny Modrzejewskiej, której wielbiciele wyprzęgali konie z powozu i sami go ciągnęli. Czy pani się spotkała z podobnymi dowodami uwielbienia?

— Nie tego rodzaju. Dowodem sympatii jest bardzo duża korespondencja. Samą mnie to zdumiewa, bo dostają 4—5 listów dziennie. Od kilku lat każdego wieczoru — a mam pięć tytułów w repertuarze, w tym dwa monodramy — publiczność na zakończenie wstaje i bije brawo. Ja to nazywam holdem. Trzaskę się już do tego przyzwyczailam, ale ja po to pracuję — to ciewieczor nie granie i uznanie jest mi potrzebne jak powietrze.

— Zaczęło się od Agnieszki w „Człowieku z marmuru”. Ze zdziwieniem przeczytałam, że pani nie przepada za tą rolą. Dlaczego?

— To nieprawda. Z punktu widzenia zawodowego uważam, że była to rola dużo gorzej zagrana niż np. w „Przesłuchaniu” czy ta sama rola w „Człowieku z żelaza”. Ale do dzisiaj jest to moja najważniejsza rola.

— Stworzyła nią pani nowy typ aktorstwa — nerwowego, zachłannego. Wydaje się, że taki też jest

# Nie jestem potworem

Z KRYSTYNĄ JANDĄ rozmawia IWONA KŁOPOCKA



pani styl uprawiania tego zawodu...

— Wszystko robię zachłannie, a w pracy nie znam granic rozsądku. Pracuję nie zważając na zmęczenie. Potrafię zrobić premię w dwa tygodnie, a to jest prawie nadludzki wysiłek. Potrafię się nauczyć 100 stron tekstu w cztery dni, co jest prawie niewykonalne. Przypuszczam, że wiele osób nie odważyłoby się na coś takiego, ale ja zacinam zęby. Ciągle stać mnie na szaleństwie w zawodzie. Zawsze tak pracowałam. Kiedy dostaję rolę staram się z niej wyciągnąć maksimum. Wszystko traktuję bardzo poważnie, każdy wieczór w teatrze. Nigdy nie pozwalałam sobie na ulgę, na to że zagram byle jak, że wmdówię sobie, że dzisiaj nie mam siły. To się zdarza

wielu moim kolegom, ale ja tego nienawidzę.

— Koszty takiego sposobu uprawiania zawodu chyba są ogromne, a przecież pani ma dom, troje dzieci...

— Nie pamiętam kiedy miałam wolny wieczór, ale życie nauczyło mnie szybkiej regeneracji sił. Dlatego nie muszę niczego poświęcać, ani dzieci, ani rodziny, ani domu. Wszystko da się pogodzić.

— Nim córka, Marysia Seweryn, zagrała w „Kolejności uczuć” bardzo ją pani przestrzegala przed tym zawodem. Dlaczego?

— Można być złym lekarzem czy inżynierem i przeżyć całe życie nawet sobie tego nie uświadamiając. W aktorstwie albo jest się dobrym, albo się odpada. To widać, to się natychmiast sprawdza; egzamin jest co pięć minut, a to bardzo stresuje. Chciałam Marysię uchronić przed ewentualnymi rozczarowaniami. Ja jeszcze nie wiem czy ona ma talent, czy ma szansę. Natomiast wiem, że ma inne możliwości, zna doskonale pięć języków, jest wychowana i wykształcona na poziomie europejskim. Zawsze wydawało mi się, że szkoda jej do aktorstwa, ale skoro zdecydowała inaczej, to będzie musiała scharwakać całą swoją wiedzę do kieszeni.

— Wiedza, a zwłaszcza chęć jej zdobywania jednak się przydają. Daniel Day Lewis przygotowując się do roli człowieka z porażeniem mózgowym, pół roku spędził w zakładzie dla sparaliżowanych i nie schodził przez ten czas z wózka inwalidzkiego. Czy pani posunęłaby się tak daleko w celu identyfikacji z postacią?

— U nas przede wszystkim nie ma na to czasu. 80 procent tego co robimy to improwizacja. My nie mamy profesjonalnie przygotowanych scenariuszy i produkcji. Polska kinematografia jest w tym sensie półamatorska. Poza tym my nie zarabiamy tyle, by pozwolić sobie na wielomiesięczne obserwacje sparaliżowanych ludzi. Moje dzieci by w tym czasie umarły z głodu, a ja bym dalej obserwowała. Ja mam na rolę dokładnie 24 dni. Natomiast robiąc ostatni film, gdzie grałam szizofreniczkę, rzeczywiście bywałam w szpitalach, przeczytałam wszystko na ten temat, m.in. cztery roczniki „Psychiatrii Polskiej”, konsultowałam się z lekarzem, obserwowałam pacjentkę, którą miałam skopiować. Reżyser w końcu tego nie użył, zdecydowaliśmy się na umowność, ale rzeczywiście potrafiłabym już zrobić filmową analizę tej choroby.

— Jaki jest pani ideał mężczyzny?

— Mój mąż...  
— ...Edward Kłosiński, jeden z najwybitniejszych operatorów filmowych. Andrzej Żuławski powiedział, że „najszczęśliwsze gwiazdy wychodzą za mąż za operatorów, ponieważ nalogowo potrzebują — bardziej niż luster — nieustannie patrzących na nie oczu”. Zgadza się pani?

— To jest idiotyczna wypowiedź, jakieś kretyńskie generalizowanie. Proszę się tym w ogóle nie przejmować. Spotkałam mężczyznę, który spełnia wszelkie warunki i ma zalety, które po prostu bardzo pomagają życiu. Miłość miłością, ale my jesteśmy ze sobą już 17 lat i jest to cią-

gle bardzo udany związek, ale z obu stron wymaga to bardzo wiele pracy, zrozumienia, dojrzałości. Gdyby mój mąż był chirurgiem czy kimkolwiek innym byłoby tak samo. My rzadko pracujemy razem, więc to nie ma większego znaczenia ponad to, że on wie na czym polega mój zawód.

— Wspomniała pani o zarobkach. Czy w Polsce można w tym zawodzie zarobić tyle, by być — jak kiedyś pisała o pani prasa — „kobietą luksusową”?

— Może można, ale mój dom i mnie w tym zawodzie utrzymuje właśnie mąż. Wracając do gwiazdorstwa, o które pani pytała na początku — ja jestem w tak luksusowej sytuacji, że mój mąż przez to, że zarabia dużo pieniędzy, pracując od roku w Niemczech, pozwala mi na całkowitą swobodę w zawodzie. Ja do niczego nie jestem zmuszana, robię to na co mam ochotę i co mnie interesuje. Nie dlatego, że jestem gwiazdą, ale że on mi to dał. Gdyby nie było mojego męża nikt by mnie nie nazwał gwiazdą, bo od rana do wieczora musiałabym zarabiać na życie.

— Wydaje się, że osiągnęła pani wszystko — szczęście rodzinne, sukces zawodowy, pieniądze. Czy można jeszcze czegoś pragnąć.

— Zeby się nic złego nie stało dzieciom. To jest jedyne czego się boję.

— A czego pragnie pani w zawodzie? Na spotkaniu z opolską publicznością zdradziła pani chęć zagrania Szekspira. Ponieważ mówi się o pani „mężczyzna w spodnicy”, w grę wchodzi chyba tylko Hamlet?

— Zrobiła to Teresa Budzisz-Krzyżanowska. Ja nie chciałabym powtarzać. Zresztą nie myślę o żadnej konkretnej roli. Ja w ogóle nie mam marzeń. Jestem osobą pragmatyczną, chodzę mocno po ziemi i biorę to, co przynosi mi los. Nie chcę za dużo, dzięki temu nie jestem rozczarowana, rozgoryczona. Ja jestem wiecznie zadowolona z tego, co mam i gdybym miała dużo mniej, to pewnie też byłabym zadowolona. Kiedy w ogródku wschodzi mi zielony groszek to cieszę się równie gorąco jak z udanej roli.

— Sama pani dłużej w tym ogródku?

— Robi to moja mama, ale ja czasem jej pomagam.

— A co z innymi babskimi zajęciami?

— Zwyczajnie nie mam na nie czasu. Pląc innym ludziom za to, że mi wyszywają, sprzątają, podszywają listwę w spódnicy i dbają o wystrzyżony trawnik. Tak jest na całym świecie, nie muszą udawać, że robię to sama.

— A co z modą, śledzi pani nowinki, grzebie w żurnalach i skle pach?

— Na to też nie mam czasu, zresztą nigdy mnie to nie interesowało. Ubięram się klasycznie, w dobrych sklepach, bardzo rzadko zresztą je odwiedzając. Prywatnie chodzę w dzinsach i t-shirtcie.

— Dziękuję za rozmowę.